

## Legenda Niny Antkowiakowej

Nina Antkowiakowa była właściwie zjawiskiem. Zarówno w postrzeganiu wizualnym, jak i oczywiście ze względu na te zajęcia i jej sposób bycia. Wydawała mi się bardzo starszą panią. Zmarła chyba, o ile pamiętam, gdy miała około dziewięćdziesiątki, więc wcale nie musiała być aż taka bardzo wiekowa, ale byłem uczniem szkoły podstawowej, więc zaliczałem ją do pokolenia babci i to takiej starszej.

Miała bardzo wyrazistą twarz z długim orlim nosem, uczesanie w siwy kok. Nosiła, pamiętam, w niewielkiej liczbie, ale bardzo wyszukaną, piękną i starą biżuterię. Którą się zresztą dosyć spektakularnie bawiła w trakcie tych spotkań. Była niewątpliwie bardzo postacią ekscentryczną. Takich jakich się nie spotykało, czasem się miało może jakieś takie ciotki, członków rodziny – ale z pewnością nie wszyscy.

Zajęcia miały właściwie bardzo różnorodny charakter. Mianowicie z jednej strony dotyczyły oczywiście historii sztuki, był to dosyć tradycyjnie rozumiany kurs historii sztuki. Od sztuki starożytnej aż po wiek dziewiętnasty, prawdopodobnie, chyba później już nie, o ile sobie przypominam. Jednak zarazem Nina Antkowiakowa uczyła również dobrych manier i sposobu bycia. Wydawało się to w tamtych czasach kuriozalne, bo nawet, jeżeli ktoś taką szkołę, taką kindersztubę, przechodził w domu, jak ja między innymi, to i tak te ćwiczenia pośród innych osób, zróżnicowanych wiekiem. Ja w pewnym momencie byłem tam najmłodszy, przychodzili tam licealiści, ale przychodzili też nawet studenci i chyba nawet studenci historii sztuki momentami.

Te ćwiczenia z kindersztuby w tym zestawie były dla nas doświadczeniem niecodziennym zupełnie. Polegało to między innymi na tym, że kiedy do pokoju, do tej sali, do tego gabinetu, gdzie się odbywały zajęcia, wchodziła dziewczyna, a już oczywiście także kobieta, to trzeba było wstać. Jeżeli zostawała na dłużej – pomóc ściągnąć płaszcz i przysunąć krzesło. Były z tym różne zabawne momenty, bo pamiętam, że kiedyś wszedł w trakcie takich zajęć pewien mężczyzna, trochę młodszy od pani Antkowiakowej i my siedzieliśmy. Nikt z nas nie drgnął specjalnie. Kiedy po wyjściu Antkowiakowa spojrzała z wyrzutem na nas i zapytała: „A dlaczego wy siedzieliście?”, no i ktoś tam coś burknął, że przecież to był mężczyzna, ona to bardzo szybko zripostowała: „No tak, ale to był profesor”.

Miała w tym wszystkim trochę archaiczne wyobrażenie o strukturze społecznej, które oczywiście jakoś tam odpowiada dzisiaj wyrażaniu szacunku, ale mogło się momentami wydawać dziwne. Na takim archaicznym rzutniku, epidiaskopie, zwanym „episkopatem”, często podkładane były książki, trzeba było w związku z tym manewrować tym zgaszonym czy zapalonym światłem i w ten sposób pomagać pani Antkowiakowej w tej prezentacji. Co jakiś czas to światło było zapalone i nad prezentowaną pracą, rzeźbą, budynkiem, obrazem zaczynała się dyskusja moderowana przez nią, która miała prowadzić do oczekiwanej przez nią konkluzji.

Zachętą do tego były przekazywane przez nią prezenciki za dobrą odpowiedź. To były rzeczy, które Antkowiakowa jakoś pozyskiwała. Pamiętam, że bardzo często były to po prostu muszelki. Bez specjalnej wartości, wątpliwej urody, ale w każdym razie całą taką strategię motywacyjną na miarę swoich możliwości i czasów pani Antkowiakowa miała.

Była, myślę, legendarną postacią w Zamku, spotykało ją z powodu tych ambicji dydaktycznych właśnie łączących historię sztuki ze sposobem bycia, czy kindersztubą, spotykały ją różne nieprzyjemności. Może w czasach, kiedy ja chodziłem, czyli u schyłku PRL-u już nie za bardzo, ale wcześniej ponoć tak. Kiedy była wołana przez kierowników działu, nazywanych przez siebie: „kierdziałami”, na tak zwany dywanik z zarzutem „Prowadzi nam tu pani” czy „Prowadzi nam tu koleżanka” albo „obywatelka” „szkołę dla hrabiów”.

Ona była reliktem innej epoki, ale to nie była egzaltowana, pretensjonalna ciocia czy babcia. Ona bardzo lubiła młodzież. Miała do tego znakomite podejście. Była w tym wszystkim trochę nauczycielska, ale, jak mówię, te rytuały czy te szkolenia – nie mieliśmy poczucia, że jest to rzecz niepotrzebna. Ona potrafiła uzasadnić, uzasadnić w sposób pragmatyczny. Jej się na przykład bardziej słuchało i bardziej zapamiętywało te porady niż na przykład od jakiejś dystygowanej cioci czy babci, czy dziadka, czy wujka, czy rodziców. A przede wszystkim, że tymi sprawami zajmują się ciekawi i nietuzinkowi ludzie. Ja właściwie mniej pamiętam, co mi pani Antkowiakowa opowiadała o sztuce, ale pamiętam jej gesty, głos, wyrażenia, sposób organizacji, zajęcia. To są rzeczy, które były unikatowe i nie do powtórzenia.